



Lukasz Jarosz (ur. w 1978 r.) – poeta, muzyk, perkusista, wokalista i autor tekstów grup: Chaotic Splutter, Lessers Bend, Mgłowiec, Znajam Porywacze Makowców. Autor dziewięciu tomów wierszy: „Soma” (2006), „Biały rzutnik” (2007), „Mimikra” (2010), „Spota” (2010), „Wolny ogień” (2011), „Pełna krew” (2012), „Świat fizyczny” (2014), „La forza delle cose” (2015, wydanie trójjęzyczne – polski, włoski, angielski) oraz „Kardonia i Faber” (2015). Laureat wielu konkursów poetyckich, m. in.: im. Rainera Marii Rilkego, im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, im. Rafała Wojaczka. Jego debiutancka książka poetycka „Soma” otrzymała I nagrodę w „Konkursie Młodych Twórców im. Witolda Gombrowicza” Fundacji Kultury oraz nagrodę „Złoty Srodek Poezji” za najlepszy poetycki debiut książkowy (2007). „Pełna krew” została uhonorowana Nagrodą Literacką im. Wisławy Szymborskiej (2013). „Świat fizyczny” nominowany był do Nagrody Literackiej Nike. Jego wiersze tłumaczone były na: chorwacki, włoski, angielski, rosyjski, hiszpański, szwedzki i niemiecki. Mieszka w Zuradzle pod Olchuszem.

Rozstanie

Jestem tutaj chwilę, leżę na karimacie nad wodą jeziora mrugającą w gałęziach, pod słońcem białym i obłym.

(Chciałem oddychać mgłdrze. Dostrzec żyłki światła, za które pociągany jest świat. Myślałem, że gdy kocham, przenoszę się,

a on ustaje, by mnie nie zdradzić. Widzę jednak, jak mam nieprawdziwe ręce i oczy, kocham miłością, która mnie pomniejsza i poniża).

Chłodno, wstaję z ziemi jak ze swojego ciała. Zrywa się wiatr i zielona topola staje się nagle biała.

Chłodno, wstaję z ziemi jak ze swojego ciała. Zrywa się wiatr i zielona topola staje się nagle biała.

Kęsim

Znów zaczynam od prostych spraw – siekiera, sosnowa szczypta, zgrabione igły świerka. Dawne modlitwy i pragnienia nie spełniły się, ale dobrze, że istniały. Teraz znużony leżę w wysokiej trawie, widzę siebie. Z daleka.

Na placu z butelką noworocznego szampana w ręce, w zaspach za akademikiem, lepiącego z nią batwana, przewracającego ją w śnieg.

Na scenie przed tłumem, mikrofonem, w którym świszczy wiatr. Na wzgórzu nad jeziorem Szurpiły.

W służbowym samochodzie ojca z napisem „Straz Leśna”, co odstrasza chłopaków przy ognisku – uciekają, chleb i kiełbasę rzucają we wrzós. Obudzonego na tylnym siedzeniu, w ścisku, w uścisku świętych i gwiazd.

Znów zaczynam od prostych rzeczy. Nie przedzieram się już przez miasta i ludzi. W oddali bije dzwon, który mnie pobija. Chcę podnieść powieki, lecz senny, nie mam siły i tylko unoszę brwi. Jeszcze mam Boga, choć już chcę mi go odebrać – slychać dhuta geologów, szpadle archeologów i blask z lunety astronoma bije w zamknięte, utne oczy.

Piosenka noworoczna

Płisny na boisku szkoły zawodowej – krótkie, zimne lyki nakluwające gardło. Mróz piszczał jak suchy flamaster, który nas

nakreślił – małe, zziębnięte postacie z krwią, która pragnie wydostać się z ciała. Ryby, które nie znalazły się w arce, a plynęły za nią.

Klasztor

Wspinaliśmy się skośną ścieżką, przy stacjach drogi krzyżowej. Mechaniczny aniołek, po wrzuceniu monety do jego brzucha, piszczał. Dziękuję bardzo.

W klasztorze oglądaliśmy powieszzone w gałkotach habity przeorów, szuraliśmy kapciami po wyszlizanej posadzce. Dzień nadymał się, słońce-śmierć sunęło tak blisko twarzy, jakby chciało szczególnie nas pochłoniąć, w jego blasku muchy na skrzydłach dźwigały sens i brud.

Rozłożeni nad strumykiem jedliśmy ogórki, thuste, smaczne zwierzęta, nasza krew namazała się jak wirusy i gwałdy. Dziadek czegstował ojca papierosami, wiatr tasował ciemny papier jego skóry, kiedy podawał mi chleb.

Pokudnie. Niedługo słońce znajdzie się w tym miejscu, co wręcy. Niedługo moja córka będzie w tym wieku, co ja wręcy. Właśnie przed chwilą tu przyszła i mówi: Szatan to ktoś, kto nie kocha Pana Boga, ale chce z nim być.

Pokudnie. Niedługo słońce znajdzie się w tym miejscu, co ja wręcy. Właśnie przed chwilą tu przyszła i mówi: Szatan to ktoś, kto nie kocha Pana Boga, ale chce z nim być.

Nowa baśń

Nasze ciało już ktoś przeżywał. Siedzę w aucie, pojednany z przyszłością słucham muzyki.

Terazniejszość jeszcze poza mną, jeszcze nie wychodzę do uczniów, którzy poznają ją tak samo jak ja kiedyś – hodują pleśń na chlebiec, ziarno fasoli w bandażu.

Ciało ktoś już miał. Nie wychodzę, dopiero za chwilę będziemy czytać o ludziach wokół ognia, Jedzących czyste zwierzę, o tych, którzy by wykupić świętego, zbierają monety. Tyle, ile waży jego poćwiartowane ciało.

Ciało ktoś już miał. Nie wychodzę, dopiero za chwilę będziemy czytać o ludziach wokół ognia, Jedzących czyste zwierzę, o tych, którzy by wykupić świętego, zbierają monety. Tyle, ile waży jego poćwiartowane ciało.

Ciało ktoś już miał. Nie wychodzę, dopiero za chwilę będziemy czytać o ludziach wokół ognia, Jedzących czyste zwierzę, o tych, którzy by wykupić świętego, zbierają monety. Tyle, ile waży jego poćwiartowane ciało.

Lato kończy się zmierzchem. W łąkach, śpiworach. Nad okopconą bączówką, płamą owiec, która pełźnie po zboczu w kryształowych dzwonkach.

Najchłodniej pod kapliczką, rzucamy tu wąskie cienie. W dolinie ciepła jeszcze rzeka, Bóg jak światło przepływa ją, wycięciony kładzie się na kamieniach. Tu umrze.

Cała wieczność

I

Gotuję dla psa kaszę, rozwijam kłębek świątecznych lampek. To dzieje się dawno, za śniegiem, w zimnej kuchni, w wilgotnym, ulanym z kamieni i igliny domu. Pies zaginał, ktoś inny wynajął to miejsce w poszukiwaniu ciepła.

II

Smaruję świeczką płoty sanek, stoję tu, gdzie latem chciały mnie wessać wiry rzeki. Jeden wokół wszystkich, wszyscy wokół jednego.

To dzieje się dawno, na niebie płaska pełnia. Następna taka będzie za szesnaście lat.

III

Idę ścieżką pod księżycem przyciągającym kamienie i zmarłych. Nakręcona sprężyna świata jest jeszcze napięta, pomusza taflę, cyferblatem ziemi.

Życie przeciska się do światła jak woda przez lód. Wodospad ma zebra, styczeń to kra. Jeden pośród wszystkich. Wszyscy pośród jednego.